

Bóg się śmieje

Samochód, wjechawszy w kałużę, pokrył się od góry do dołu tłustym, lepkiem błotem. Szosa pełna była kolein i od lat wymagała remontu.

- Z wolna - powiedział Alfred - przechodzi mi ochota na to, by ginąć bohaterską śmiercią.

Pojazdem wstrząsnęło kolejne uderzenie. Obaj pasażerowie zdęrzyli się głowami.

- Ale czy on jeszcze zdrożał?

- A co, ja prorok jakiś? We właściwym czasie na pewno dowiesz się o tym, że przekombinowałeś.

Zapadał zmrok. Szosa zataczała łuk. Po prawej i po lewej pola okolone wierzbami. W oddali majaczył przed nimi nasyp kolejowy. Auto sunęło sześćdziesiątką.

- Która to może być godzina? - Fritz próbował przez chwilę rozpiąć lewą rękawiczkę.

- Łapy na kierownicę! - krzyknął na niego Alfred. - Czy ta hossa kompletnie odebrała ci rozum?

Usłyszeli rzadkie pobrzękiwanie jakiegoś dzwonka. Fritz nacisnął na pedał. Strzałka prędkościomierza opadła na dwadzieścia. Zaraz po tym samochód się zatrzymał. Stary szlaban w biało-czerwonych, polskich barwach narodowych opadł z zardzewiałym piśkiem.

Doktor Alfred Arp wyskoczył z auta. Jego ciemną twarz w całości pokrywał brud.

- Te letnie deszcze potrafią być ohydne, jeśli podróżuje się w plenerze odkrytym samochodem.

Jego kuzyn Fritz Frehse przeciągnął ręką po czerwonych policzkach i badawczym wzrokiem zmierzył swoją małą, korpulentną sylwetkę. „Piękny obrazek przedstawiamy sobą! Właściwie powinniśmy się wykąpać!”

Reflektory masywnej lokomotywy dziurawiły zmierzch.

- Pośpieszny do Warszawy - stwierdził Alfred. - Czyli jest około siódmej. Piętnaście wagonów! Sporo!

- Spekulanci wracają do domu - mruknął Fritz.

- Akurat my mamy powody, żeby rozmawiać o spekulantach!

- Dobra, już nic nie mówię. Ale oni przynajmniej wiedzą, jaki teraz jest kurs.

- Polski celnik też może ci go podać!

Czerwone światła na tyłach pociągu zniknęły. Silnik zaskoczył. Kuzyni wskoczyli do samochodu. Ten zaś, trzęsąc się cały, przekroczył tory i po kilku minutach skręcił w wiejską drogę. W ten sposób odcinek do gdańskiej granicy został skrócony o kilka kilometrów. Z tyłu, po prawej stronie migotały wielkie lampy łukowe czewskich mostów przez Wisłę.

Samochód przejeżdżał teraz obok osamotnionych zagrod. Psy zaczęły ujadać w obsesyjnym poczuciu obowiązku.

- Kiedy Gerkowitsch mi powiedział, że notowania w Gdańsku o godzinie jedenastej wynosiły trzydzieści pięć tysięcy, to myślałem, że szlag mnie trafi. Diabli wiedzą, dlaczego akurat wczoraj musiałem kupić na termin za dwadzieścia pięć - melancholijnie stwierdził Fritz.

- Rzykownie nadstawiam karku.

- Przy tych dwustu dolarach niczego nie stracisz. Przecież to żadna suma. Poza tym paczuszka w baku wyrówna ci całą stratę.

- Obyśmy to mieli już za sobą - wzdrygnął się Fritz. - Podczas rewizji zawsze mam stracha. Przecież on kiedyś może wpaść na pomysł, żeby poszperać w zbiorniku benzyny.

- Wtedy obaj wylądujemy w pudle. W tej sytuacji musimy się z tym liczyć... Zabawne, ile kokainy zażywają ludzie na Wschodzie.

Samochód dotarł do szosy. Na jej środku lampa naftowa walczyła z ciemnościami.

Alfred włączył ostre reflektory i niemalże rozgniół gruszkę klaksonu, który wskutek brutalnego potraktowania wydawał z siebie przeciągłe jęki.

Kiedy samochód zatrzymał się tuż przed szlabanem, z budki wychynęła jakaś posępna postać. Silnik prychnął astmatycznie.

- Dzień dobry, panie Rapinski - Alfred promieniał z życzliwości.
- Żadna przyjemność odbywać służbę w deszczu, co? Proszę, tutaj paszporty! Tu dokumenty samochodu! Wszystko w porządku, jak zawsze, no nie? Tak, a teraz niech pan jeszcze obejrzy bagaże swymi niezawodnymi oczyma!

Wychylił się z auta, potrząsnął dłońm czcigodnie posiwiiałego celnika i wcisnął w nią drobny papiererek.

Pan Rapinski obrzucił papier krótkim, uważnym spojrzeniem, potem pogrzebał w kocach i płaszczach, po czym wymamrotał coś niezrozumiałe.

- Czy pan może wie, panie Rapinski, jaki dziś kurs dolara w Gdańsku? - zapytał Alfred.

Rapinski zaśmiał się szyderczo.

- Marka niemiecka¹ będzie wkrótce stała tak słabo, jak marka polska. Dolar kosztuje czterdzieści tysięcy.

Potem oddał paszporty. Samochód mógł przejechać.

- Wiedziałem, że się przeliczę. Przez osiem tygodni nie wykonałem żadnego ruchu, tak samo jak dolar. I przy pierwszej transakcji, którą teraz finalizuję, nadchodzi hossa.

- Powinieneś pozostać w kramarstwie, ty razem z Franzem. Nie rezygnuje się z dobrego interesu, by wejść między podejrzanych handlarzy i spekulantów. Twój ojciec z pewnością przewraca się teraz w grobie. Mógłbyś to kiedyś sprawdzić na przykościelnym cmentarzu.

Fritz spojrział na rozmówcę kosym okiem.

- A ty zrobiłeś coś innego?

- Oczywiście, mój chłopcze. Intelktualiście trudno dziś wyżyć. Akademia splajtowała. Gdybym tylko wiedział, że mój ojciec przed trzema laty zaprzysięgnie się marce, to nie musiałbym teraz odbywać tajemniczych przejazdów.

- Robiliśmy wówczas wszystko, by przemówić temu staremu człowiekowi do rozumu.

Fritz zatrzymał samochód, bo właśnie wjechali do jakiejś większej wsi. Przed gospodą drogę zatarasowało zbiegowisko ludzi. Jakaś chłopka próbowała zapakować swego pijanego męża na wóz drabiniasty. Kilka innych postaci na chwiejnych nogach wytaczało się na

zewnątrz, wydzierając się przy tym. Jakiś grubas – po stroju sądząc, właściciel majątku ziemskiego – miotał się na schodach, po czym pacnął w kałużę. Wydał przeraźliwy okrzyk, inni otoczyli go kołem i zasnucili pieśń o jutrzence².

– Ludziska już nie wiedzą, co począć ze swoimi pieniędzmi – zauważył Alfred. – Za czasów wojny zarabiali się na śmierć, a teraz, w czasie inflacji, splacają bezwartościowe hipoteki!

Fritz ostrożnie minął wrzeszczącą grupę. Potem musiał zatrzymać się raz jeszcze.

Tuzin robotników, którzy mieszkali tu, w pobliżu miasta, stał na szosie. Wielkie chłopsko opuściło kolumnę i wystąpiło kilka kroków w przód.

– My nie³ mamy co jeść, a ci mogą się uchlewać całymi dniami!

Podniósł kamień i cisnął nim w wóz drabiniasty. Chłop zakopał się w sianie; jego żona zacięła konie jak opętana. Nieszczęśnik z kałuży, z trudem stanąwszy na nogi, wrzasnął:

– Zabić tę hołotę! Precz z tymi przekłętymi, czerwonymi kundlami!

Rozpoczęło się nasilone bombardowanie przy użyciu kamieni i mokrej gliny, którą wrywano z przydrożnego rowu. Obie grupy zbliżyły się do siebie z pogrózkami.

– Myślę, że pojedziemy dalej! – Fritz uruchomił silnik.

Alfred przytaknął.

– W końcu się zaczęło!

Samochód jechał w kierunku miasta ze zwiększoną prędkością.

*

Jednopiętrowy dom w pobliżu bramy wyglądał na dość zaniedbany. Szary tynk zaczynał już odpadać. Nad wejściem paliła się lampa elektryczna, oświetlająca szyld „Eugen Lux. Towary kolonialne hurtem”. To była nowa tablica, zbyt luksusowa jak na taki mały dom.

Zgarbiony człowieczek w ciasnym szarym surducie po omacku szukał dzwonka. Palce z ociąganiem przesunęły się po przycisku, rozcapierzyły się i wzdrygnęły. Drobna postać podreptała schodami